

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY DO INDII

PUTTAPARTHI, ŚIRDI I MUDDENAHALLI

18.02.2016 – 11.03.2016

Chciałbym podzielić się moimi wrażeniami z pielgrzymki do Prasanthi Nilayam, Śirdi i Muddenahalli w lutym 2016. Po raz pierwszy towarzyszyła mi żona Ania, która jest praktykującą katoliczką o tolerancyjnych poglądach i nie jest wielbicielką Sathya Sai Baby. Jest to istotne w tej historii, ponieważ Ania zachowując dystans i niczego nie oczekując nie mogła ulec autosugestii, o co można by podejrzewać mnie.

A więc poleciliśmy liniami Qatar Airways w 6 osobowej grupie. Połączenie przez Doha oceniam dużo lepiej niż przez Frankfurt – podróż jest krótsza i podzielona na dwa niemal równe etapy z odpoczynkiem w Katarze. W Bangalore czekały na nas taksówki od Ahmeda i tak o poranku dotarliśmy do tego istnego raju na ziemi jakim jest aśram Prasanthi Nilayam. To było 3 tygodnie przed Mahaśiwaratri. W ciągu następnych dwóch tygodni nie było tłumów – dominowali Hindusi, białych była garstka, głównie Rosjanie. Od razu na pierwszym darśanie czekała nas miła niespodzianka - występ młodzieży, absolwentów szkoły Sathya Sai wyrażających swoją wdzięczność Bhagawanowi za otrzymane wykształcenie. Takich przedstawień było wiele, każde zakończone rozdawaniem prasadamu. To od razu uderzyło Anię – że tu nikt nie chodził z tacą, tylko dawano. Jednego dnia zostaliśmy nawet zaproszeni na „mahaprasadam” – posiłek rozdawany w jednym z szedów.

Drugiej nocy żonę obudził zapach – intensywna woń kwiatów, która jak nagle pojawiła się, tak nagle odeszła. Ania zastanawiała się nad źródłem tego zapachu, ale nie pochodził on z zewnątrz, a tym bardziej nic tak nie pachniało w naszym pokoju.

Zależało mi na kontynuowaniu mojej codziennej sadhany, ale nie medytowało mi się dobrze, nie mogłem się skoncentrować, rozpraszał mnie hałas i złe samopoczucie. Ludzie zachowywali się dość głośno, przybyło samochodów, wozy ciągnięte przez woły zostały zastąpione hałaśliwymi traktorami, rozmowy i muzykę było słyszeć nawet po 22. Nawet na medytacji w mandirze po wieczornych bhadżanach nama-smaranę zakłócało mi odtwarzanie Sai Gajatri na darśanie. Do tego, jak nigdy przedtem, byłem ciągle przeziębiony. Dopiero po prawie 2 ty-

godniach zacząłem czuć spokojną, nieustannie promieniującą energię aśramu.

Po kilku dniach, w niedzielę, pojechaliśmy do Muddenahalli. Litwini tego dnia wyjechali już o 7 rano, żeby na darśanie zająć dobre miejsca. My uczyniliśmy to parę godzin później, ale i tak nie było tłumów i dostaliśmy się do środka Prem Deep – owalnego budynku, w którym Ba-ba udziela darśanów w czwartki i niedziele.

Od lata 2014 zaszło wiele zmian – postawiono nowe budynki szkolne, apartamentowiec dla VIP-ów, odnowiono Sai Anandam – siedzibę Baby, z charakterystyczną wieżą z zegarem. I wybudowano wielkie audytorium Premamrutham, dwa razy większe od hali Purnaczandra w Nilayam. Główną aleją wciąż jeździły ciężarówki, widać było, że prace trwają i kampus nadal przeobraża się.



Prem Deep

Bhadżany zaczęły się około godziny 17:30, w ich trakcie pojawił się Madhusudan i Narasimhamurthy. Po bhadżanach niespodzianka – Narasimhamurthy wygłosił przemowę o ich spotkaniu z premierem Indii Modim w Dżajpur, a następnie wysłuchaliśmy boskiego dyskursu. Madhusudhan był bardzo skupiony i wyciszony. Zaczął jak zwykle – że widzi Bhagawana siedzącego na krześle, ubranego w pomarańczową szatę i że będzie powtarzał Jego słowa. Stał przy mównicy z głową całą

czas odwróconą w kierunku fotela Baby, nie patrzył na ludzi, mówił szybko i płynnie, nie zastanawiał się, nie poprawiał, czasem zaczynał mówić zanim Narasimhamurthy skończył tłumaczyć. Trwało to z dobrą godzinę. Jego głos był łagodny, wyciszony, słodki – płynął jak delikatna gra na flecie. Inaczej mówił Narasimhamurthy – on już modulował swój głos, dodawał więcej emocji, czasem reagował śmiechem, mówił głośno i dobitnie. Pod tym względem przypominał Anila Kumara.

Po zakończeniu przemówienia Madhusudan wyszedł do ludzi, za nim podążał Narasimhamurthy. Obaj zaraz opuścili nas, siedzących wewnątrz Prem Deep i wyszli na zewnątrz, przeszli dookoła budynku i... odeszli. Darśan zakończył się, Poczujęm się niespełniony i rozczarowany. „Jechaliśmy z tak daleka, czekaliśmy tyle godzin, a Baba nas zignorował...” – myślałem. W dodatku zrobiła się późna godzina, po 20:00 i groziło nam, że nie zdążymy dostać się do aśramu (tam wpuszczają mieszkańców do godz. 21:30) i będziemy musieli nocować gdzieś na zewnątrz.

Przybyliśmy przed 22 i szczęśliwie nas wpuszczono.

Hmm... właściwie w MDH nie poczułem nic oprócz cudu dyskursu, które wygłosiło puste krzesło... Jednak coś nie dawało mi spokoju. Czujęm, że jest tam energia, ale inna, nie taka, jaką znałem i jakiej oczekiwałem – bardzo czysta, bardzo spokojna, bardzo subtelna. Byłem za bardzo rozproszony, za bardzo rozglądałem się obserwując wszystko dokoła, za bardzo poszukiwałem Baby zmysłami. Zastanawiałem się, czy nie warto by było jechać tam jeszcze raz.

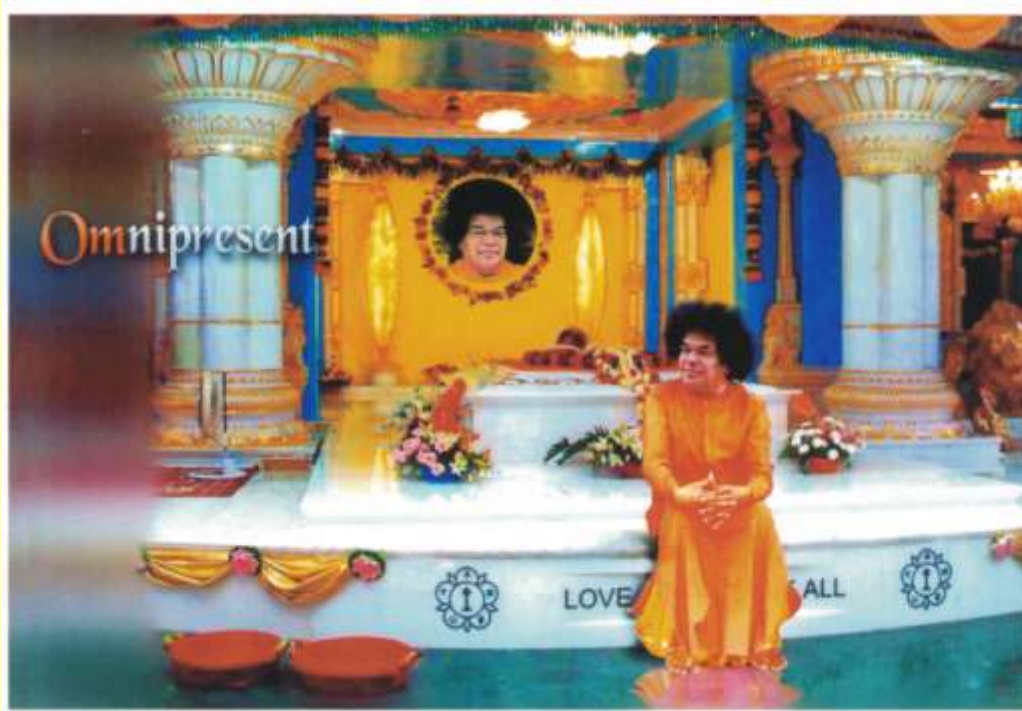
Pewnego dnia, gdy wędrowaliśmy z Anią po najdalszych zakątkach Nilayam, blisko szedów zagadnęła nas jakaś kobieta. O coś spytała, kogoś szukała. Po chwili rozmowy zapytała mnie niespodziewanie: „Czy ty byłeś w Muddenahalli?”. „Tak – odparłem – ale właściwie nic tam nie poczuliśmy”. „Naprawdę? – zdziwiła się i w uniesieniu zaczęła opowiadać. „Jestem z Babą od 20 lat. To on we śnie kazał mi jechać do Muddenahalli. Wiele razy widziałam tam Babę, widziałam aurę wokół Madhusudana i wspaniałe aury wokół wzgórza. Tam jest cudowna, niezwykła energia. Ona schodzi tam na ziemię, jest jak złote światło. To jest najwyższa, najświętsza energia – jeszcze nigdy w dziejach tak czysta, boska energia nie zstępowała na ziemię. To miejsce wciąż podnosi swoją energię, aby przyjać Prema Sai. Baba powiedział – kontynuowała – że Prasanthi Nilayam to była szkoła podstawowa, a tam będzie uniwer-

sytet. Teraz to jest egzamin dla wielbicieli - nie każdy poczuje tę energię, na to trzeba zapracować”. Na koniec powiedziała: „Zaraz poczujecie tę energię. Mam tu włos Sai Baby”. To mówiąc zdjęła z szyi talizman. Była to niewielka srebrna tulejka wielkości małego bezpiecznika. Poszliśmy usiąść na pobliskiej ławeczce. Stała za mną i przyłożyła mi tulejkę do głowy. „Teraz poczujesz tę energię” – powiedziała. „Niestety, jak zwykle nic nie czuję” – pomyślałem i zrobiło mi się przykro, że niepotrzebnie zabieram jej czas. I wtedy energia zaczęła na mnie spływać. Poczułem, jak z góry schodzi na mnie coraz głębszy spokój i błogość. Stała przede mną i przyłożyła mi włos Sai Baby do czoła, w miejscu pomiędzy brwiami. Ogarnął mnie cudowny, błogi spokój. Byłem cały czas świadomy, ale ustały wszelkie myśli i emocje. Siedziałem trwając w wewnętrznej, rozkosznej ciszy. Ona tymczasem przykladała talizman do głowy siedzącej obok Ani. Za chwilę odeszła nie mówiąc ani słowa. Siedziałem i siedziałem, jak w transie. Ania siedziała obok. W końcu, po długim czasie, gdy powoli zacząłem wracać do rzeczywistości, odezwałem się żartobliwie do niej: „Pewnie myślisz, że to jakieś wariacko?”. Ale zobaczyłem, że ona wyjmuje chusteczkę i wyciera oczy. Płakała. Czuła to samo, co ja. Było to przeżycie bardzo niespodziewane, intensywne i nie pozostawiające cienia wątpliwości co do swej realności.

Minał dzień lub dwa. Pewnego razu, gdy przechodziłem obok stoiska z kokosami w aśramie, jakaś kobieta siedząca na ławeczce zawołała do mnie radośnie „Sai Ram!”, jak do starego znajomego. Podszedłem do niej i zapytałem: „Czy my się znamy?”. „Tak, z Muddenahalli!”. Choć na zdrowy rozum widziałem ją pierwszy raz w życiu, miałem wrażenie, że znam ją od bardzo dawna. Zaczęliśmy rozmawiać. Znowu powiedziałem, że byliśmy w MDH, ale nic specjalnego nie poczuliśmy. I znowu moja rozmówczyni zaczęła opowiadać, jaka tam jest wspaniała, potężna energia. Wtrąciła się jej towarzyszka Irina i opowiedziała, że gdy była tam po raz pierwszy, doznała takiego czyszczenia, że cała się trzęsła, nie miała sił stanąć na nogach, z oczu płynęły jej łzy, ciekło jej z nosa i ust, jakby przeżyła porażenie prądem. Tylko że był to boski prąd.

Kolejnego dnia rozmawiałem z kimś o wątpliwościach dotyczących MDH. Gdy rozeszliśmy się i zrobiłem trzy kroki wychodząc zza rogu budynku, niemal zderzyłem się z Iriną trzymającą w dłoni obrazek. „To dla ciebie” – powiedziała, wręczyła mi taką oto pocztówkę i oddaliła się.

„Może Baba chce mi coś zakomunikować?” – pomyślałem.



Dzień później pojechalismy do Śirdi. Pomine opis 15 godzinnej podróży pociągiem w wagonie typu „sleeper”, czyli wyposażonym w „very comfortable beds” (bardzo wygodne łóżka) – jak określił miejsca leżące urzędnik w kasie biletowej. Powiem tylko, że w pociągu przywitał nas fetor, tłok, brud, robaki, żebracy, handlarze niestrudzenie przemierzający nieprawdopodobnie długi pociąg i - znoszący to wszystko z flegmatycznym spokojem – upakowani jak sardynki w puszce pasażerowie. Gdy wysiadaliśmy następnego dnia, pękała mi z bólu głowa.

Jednak po przybyciu do hotelu w Śirdi i powitaniu ze Swamim Veerendrą ból ustąpił, zmęczenie podróży odeszło i wpadliśmy w nowy wir zdarzeń. Po zakwaterowaniu w zacisznym hotelu jeszcze tego samego dnia wyszliśmy całą grupą na „miasto”. Śirdi jest kilka razy większe od Puttaparthi, przewalały się przez nie niezliczone tłumy ludzi, roilo się od handlarzy. Byli namolni i uparci, może dlatego, że byliśmy tam jedynymi białymi. Do Śirdi przyjeżdżają niemal wyłącznie Hindusi, stoją godzinami w kilometrowych kolejkach do Samadhi, by na kilka sekund móc zatrzymać się przed grobowcem Śirdi Baby, wypowiedzieć szybko swoją modlitwę i odejść. Oprócz Samadhi w Śirdi jest wiele pomniejszych świątyń różnych bóstw, a w nich nieustannie trwały modlitwy i śpiewy. Zatrzymaliśmy się na dłużej w jednej z nich. Odbywało się tam nieustanne siedmiodniowe śpiewanie mantry do Śirdi Baby *Om Sai*

dżej Sai dżaja dżaja Sai. Zmieniały się melodie, rytmy i zespoły muzyczne, ale śpiew trwał nieprzerwanie dzień i noc. Takich miejsc intensywnej sadhany jest wiele w Śirdi. Następnie opuściliśmy tę świątynię i udaliśmy do Samadhi. Swami wybrał późną porę, żeby nie było wewnątrz tłumów, choć ulice i place były rojne i gwarne. Kolejka posuwała się szybko. Z głębi dobiegały nas co chwila entuzjastyczne okrzyki: „Om Śri Sai Babadzi-ki dżej!!!”. W końcu znaleźliśmy się w wielkiej sali o ścianach i kolumnach obitych blachą złotego koloru. W szczycie sali stał nadnaturalnej wielkości posąg Śirdi Baby, a u stóp posągu znajdował się grobowiec. Po drodze mijaliśmy wielkie skarbony na ofiary. W świątyni Śirdi Baby, inaczej niż w Prasanthi, czci się nie tylko Samadhi, ale też posąg Sai Baby. Dzień zaczyna się od umycia posągu i ubrania go w nowe szaty. Potem następują kolejne ceremonie, które wypełniają cały program dnia. Przeszliśmy szybko koło grobowca, zdażyłem tylko uklęknąć i dotknąć głową płyty z plexi, na którą pielgrzymi składali kwiaty – i już następni pchali nas do wyjścia. Tempo było olbrzymie, dziennie musiały się tam przewijać tysiące, tysiące ludzi, a energia w świątyni wypełnionej modlitwami była intensywna jak w kuźni. Zupełne przeciwieństwo cichego i spokojnego Nilayam.

Następny dzień rozpoczął się dla nas Śakti-pudzą, po której rozpalono ogień jadźni. Jadźnia w Śirdi to był jakby ogień dolany do ognia. I jeszcze słońce paliło niemiłosiernie. Dużo śpiewaliśmy, dużo czasu spędzaliśmy przy ogniu wrzucając ofiary. A wieczorem czekał nas darśan Baby – Ania miała go doświadczyć po raz pierwszy. W trakcie entuzjastycznych śpiewów przyszedł Swami-Baba. Gdy podszedł do mnie poczułem jak zawsze niezmierny zapach kwiatów. Dość szybko minął mężczyzn i zaczął błogosławić panie. Zobaczyłem jak Ania, która wcześniej traktowała Swamiego z pewną dozą nieufności, teraz składa dłonie, patrzy mu długo w oczy, a potem pada do jego stóp. Potem opowiedziała, że już od chwili jego wejścia spłynął na nią głęboki spokój i radość, poczuła, jak z serca spada jej ciężar. Po pobłogosławieniu pań Swami niespodziewanie usiadł na krześle i zaczął przytulać podchodzące kolejno osoby. Kiedy przyszła kolej na mnie, Baba skinął na Anię i objął nas oboje. Wróciliśmy uszczęśliwieni na swoje miejsca. Za chwilę jednak rytuał został przerwany. Swami napił się wody z kubka, a po chwili jego twarz wykrzywił grymas bólu. Zaczęliśmy energicznie śpiewać bhadżany. Działo się coś niesamowitego i to od razu na pierwszym darśanie! Swami „rodził” – wstrząsały nim konwulsje, popijał wodę... Po kilku minutach z jego ust zaczęło wyłaniać się coś białego. „Figur-

ka?” – pomyślałem. To był lingam – przepiękny biały lingam! Swami umieścił go na udekorowanym płatkami róż talerzu i pozwolił nam go obejrzeć. Wyjaśnił, że to bardzo rzadki biały lingam i choć jest niewielki, to posiada wielką moc. Jest ucieleśnieniem energii Śirdi Baby, Sathya Sai Baby i Prema Baby. Potem talerz spoczął obok krzesła Swamiego, a my kontynuowaliśmy radosny rytuał przytulania się do Baby.

Dla nieorientowanych wyjaśniam, że sewa, jaka wykonuje Swami Venerendra jest zupełnie niespotykana i inna niż wszystko, co poznałem do tej pory. On „użycza” swego ciała Sathya Sai Babie. Traci wtedy własną świadomość, a przez niego z mocą przejawia się Baba. To Baba patrzy w oczy, błogosławi, dotyka, przytula, rozmawia na interview, materializuje wibhuti i rodzi lingamy. W ten sposób używając ciała Swamiego Baba sprowadził już na ziemię 500 lingamów, co Swami Venerendra przypłacił chorobą serca i operacją wstawienia by-passów.

Zapadła noc, wszyscy po kolei zostali już ukojeni w objęciach Baby, śpiewaliśmy bhadžany. Wtedy Baba znów skinął na mnie i na Anię. Z kompletnie pustym umysłem ukląknę przed nim. Poprosił, żebyśmy złączyli prawe dłonie i wtedy włożył w nie ten biały lingam... wyszeptał nam mantrę lingam... zdjął z siebie girlandę z róż i zarzucił ją nam na szyje. Złączeni girlandą padliśmy mu do stóp, całowaliśmy jego stopy...

Następnego dnia smażyliśmy się przy ogniu jadźni i w słonecznym żarze. Byliśmy już w komplecie – grupa z Kanady, Francji, Włoch i Polski. Odbyła się ceremonia linga abhiszekam – rytualnej kąpieli lingamów. Poddanych jej zostało 7 lingamów urodzonych przez Swamiego w różnym czasie i w różnych miejscach. Czułem zmęczenie, senność, dreszcze, nieustannie ciekło mi z nosa i straciłem głos. Wiele osób chorowało, ale do końca jadźni wszystkim wróciły siły.

Trzeciego dnia wieczorem znów mieliśmy upragniony darśan. Przyszedł Swami-Baba i zaczął błogosławić. Kiedy oddalił się ode mnie czułem niedosyt. Na jadźni w Rzymie zalał mnie błogą radością i teraz w duchu domagałem się tego samego. Patrzałem za nim tęsknie próbując uchwycić jego wzrok. Gdy był po stronie pań, z daleka spojrział na mnie przez chwilę. I wtedy spłynął na mnie cudowny, głęboki spokój i błogość. To było to samo przeżycie, jakiego doznałem od „włosa Sai Baby”, ta sama energia. Potem Swami znów usiadł na krześle i zaczął pić wodę z kubka. Zamarliśmy, kiedy jego ciało zadrżało, a na twarzy pojawiło się cierpienie. W jego ustach coś zajaśniało... To był lingam, drugi

biały lingam narodzony w Śirdi! Tym razem otrzymała go wielbicielka z Włoch.

Powrót do Puttaparthi był już o wiele przyjemniejszy, w pociągu czuliśmy się jak w domu, złe pierwsze wrażenie odeszło.

W ostatni dzień naszej indyjskiej pielgrzymki pojechaliśmy do Bangalore przez Muddenahalli. Wyjechaliśmy późno i na darśan przybyliśmy w ostatniej chwili – miałem numer 45 w męskim sektorze. To znaczy, że było około 100 osób z zewnątrz – byli to w większości biali. Wcześniej, po wejściu do aśramu, usiadłem w pierwszym lepszym miejscu na chwilę medytacji. I od razu poczułem wielką różnicę – umysł stał się spokojny i skupiony, zanurzyłem się w głębię, jakiej nie doświadczyłem ani w Puttaparthi, ani w Śirdi.

Będąc ostatnim w kolejce nie zmieściłem się do Prem Deep. Siedziałem na murku na zewnątrz. Rozpoczęły się bhadżany. W pewnym momencie, który dokładnie pamiętam - podczas bhadżanu do Ramy - poczułem jak zmienia się energia, przeszedł mnie dreszcz i ożywiłem się. Niestety, nie mogę zweryfikować, czy był to moment, w którym Swami przyszedł na darśan, bo nie widziałem, co się dzieje wewnątrz. Po bhadżanach znów pan Narasimhamurhy wygłosił przemówienie, a po nim rozpoczął się boski dyskurs. Nie widziałem mówców, skupiłem się tylko na głosie Madhusudana, płynącym jak łagodna muzyka. Swami długo mówił, wtrącał anegdoty ze swego życia, słuchacze wybuchali głośnym śmiechem. To było wartkie i żywe przemówienie. Potem darśan. Wyszli na zewnątrz, wiedziałem więc, że tym razem dopisze mi szczęście. Powoli szedł Madhusudan, zbierał listy, czasem z kimś rozmawiał. Za nim szedł Narasimhamurthy. Zawsze myślałem, że Madhusudan chodzi obok Baby w świetlistym ciele, teraz jednak widziałem, że obok Madhu nie ma miejsca dla Swamiego. I oto, gdy Madhu był około dziesięciu metrów ode mnie, pomimo kataru poczułem przez chwilę mocny zapach wibhuti. A gdy Madhu mijał mnie, poczułem płynący od niego intensywny zapach kwiatów, jakby wylał na siebie flakonik perfum. Odeszli, darśan zakończył się. Potem Ania potwierdziła, że również poczuła najpierw woń wibhuti, a potem zapach kwiatów u Madhu.

Znów byłem zdezorientowany: czy Baba przejawia się przez Madhusudana, czy idzie swobodnie przed nim? Niektórzy traktowali Madhu jak Babę, zadając mu pytania, przekazując listy, dotykając jego stóp. Ja jednak widziałem, jak Baba przejawia się przez Swamiego Veerendrę i

miałem porównanie. Swami Veerendra dosłownie przeistacza się, traci swoje 'ja' natomiast Madhu, jak sądzę, pozostaje sobą – całkowicie poddanym wielbicielem, u którego widać wielką pokorę i płynący od niego spokój. Może emanuje z niego boska energia, ale nie w tak widocznej formie, jak u Swamiego Veerendry. Madhu jest po prostu całkowicie skoncentrowany na słuchaniu Baby i wykonywaniu Jego poleceń. To bez wątpienia widać – że jest całkowicie podporządkowany i służy komuś, kogo nie widać.



Sai Anandam

Takie są moje wrażenia. Śirdi odebrałem jako miejsce wielkiej mocy, do którego przyjeżdża się na chwilę z intencją, jak do kowala, który uderzeniem młota ma wyprostować zgiętą podkowę. Parthi jest miejscem, w którym wielbiciel może tygodniami kapać się i oczyszczać w duchowej energii, w boskim cieple stopniowo topić swoje ego. A jakie jest Muddenahalli? Baba daje znaki, które przemawiają do zewnętrznych zmysłów i mogą utwierdzić wielbiciela, że tam COŚ jest. Ale poznanie tego, zagłębienie się w to, jest wyzwaniem, zadaniem do wykonania. Wróciłem z Indii lekki i radosny, ale z poczuciem, że nadszedł czas na wielki wewnętrzny wysiłek.

Jacek